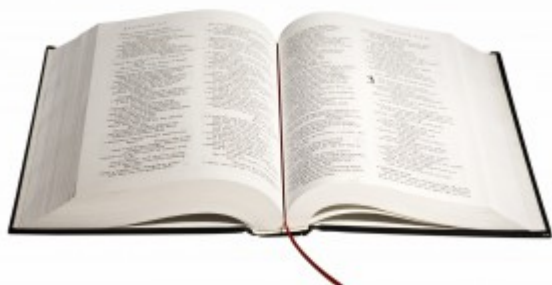


To był trudny czas!



Cierpienia, jakie nas spotykają, są nie tylko bolesnym przeżyciem, źródłem rozterek i bólu. Dla biblijnych chrześcijan są także ciężką próbą wiary i zaufania do Boga; rodzą bowiem rozdzierające pytania o Bożą miłość, troskę i opiekę, o sens

i wysłuchiwanie modlitw, o Bożą moc, Jego zainteresowanie i obecność w naszym życiu.

Siostra Grażyna Ciempka. W roku 1986 straciła małego synka, który zmarł na chorobę nowotworową. A po kilku latach, gdy darowany przez Boga drugi synek zaniemógł, jak grom z jasnego nieba spadła na nią diagnoza lekarzy: To jest nowotwór!

Rozpoczęło się kilka lat, które s. Grażyna pewnie najchętniej wykreśliłaby ze swego życia; lat spędzonych z synkiem w szpitalach, w Centrum Zdrowia Dziecka, naznaczonych lękiem, momentami wręcz przerażeniem!...

Dziś (niniejszy artykuł powstał zimą roku 2000), Symeon biega wraz z innymi dziećmi, i patrząc na niego ktoś postronny wcale by się nie domyślił, przez co przeszedł, a wraz nim jego mama, cała rodzina, zbór i cały Kościół. W jego życiu zdarzył się autentyczny Boży cud; Pan Bóg przyznał się do modlitw i biblijnego obrządku pomazania olejem (patrz: List ap. Jakuba 5,14-16) i wysłuchał (Symeon = „wysłuchany od Boga”) nasze wspólne modlitwy.

Początkowo chcieliśmy z s. Grażyną przeprowadzić wywiad, jednak wspomnianie tamtych dni i przeżyć w obecności innej osoby jeszcze dziś byłoby dla niej zbyt trudnym doświadczeniem. Umówiliśmy się więc, że w samotności spisze swoje świadectwo.

Oto ono:

Nie wiem, od czego zacząć, ponieważ chcąc opowiedzieć wszystko, musiałabym napisać książkę. A i tak nie ujęłabym wszystkich moich przeżyć, odczuć i myśli... Chcę tu podzielić się tymi najważniejszymi. Chcę dać świadectwo, że Bóg jest dziś TAKI SAM, że słyszy nasze modlitwy i odpowiada na nie; że także dziś czasami uzdrawia i czyni cuda!

Gdy w roku 1986 zachorował Dawidek, nikt nie podejrzewał, że to nowotwór. Dlaczego małe dwuletnie dziecko musi umrzeć – wszak nowotwór, to wyrok śmierci!... Co ono zawiniło?...

Byłam załamana. Odczuwałam wszystko: szok, rozpacz, ból, bunt, rozgoryczenie, rezygnację... I cichą nadzieję – może Bóg zlituje się i go uleczy?... Tę nadzieję ma każdy człowiek, bo chce ją mieć, by nie oszaleć z rozpaczyl... Modliłam się, wszyscy w rodzinie i w zborze się modlili. – Ale Bóg zabrał Dawidka. Nie wiem. Trudno mi nawet dziś o tym mówić. Minęło kilka lat.

Symeon. Scenariusz ten sam; diagnoza – identyczna. Pierwszy szpital – Cieszyn, następny – Bytom.

Pamiętam, że gdy miał być przewieziony do Bytomia, ogarnął mnie wielki strach – to przecież w pobliskim Zabrze zmarł Dawidek!...

Wspomnienia sprzed kilku lat wróciły z podwójną siłą! Byłam przerażona i zrozpaczona. Modliłam się: „Boże! Proszę, daj mi jakąś pociechę!... otuchę... nadzieję... Boję się! Pomóż mi!”

Gdy tej nocy na krótko zasnęłam, usłyszałam głos, który mówił: „Nie bój się. Wszyscy wrócić do domu”.

Pamiętam, że uchwyciłam się tych słów: uwierzyłam, że Bóg naprawdę coś mi obiecał, że dał mi nadzieję.

Później, gdy z Symeonem było coraz gorzej, gdy według opinii lekarzy miał umrzeć, buntowałam się: „Boże! Przecież mi obiecałeś! Ja uwierzyłam, a Ty mnie okłamałeś?!”

Czas pokazał, że Bóg dotrzymał obietnicy – wróciliśmy!

W Bytomiu Symeon był przez pół roku. Ale jego stan był coraz gorszy;

bezradność lekarzy, brak podstawowych lekarstw...

Wtedy w naszej rodzinie pojawiła się myśl, aby poddać Symeona biblijnemu obrządkowi pomazania olejem, połączonego z nałożeniem rąk i modlitwą... Bóg odpowiedział wiele miesięcy później, chociaż pierwszą już chyba odpowiedzią było to, że nieoczekiwanie za pięć dni, mój synek został przewieziony do Warszawy – do Centrum Zdrowia Dziecka.

Tam, wiadomo, inna opieka i warunki, najlepsi w Polsce lekarze.

Symeon został poddany chemioterapii – z wszystkimi jej ubocznymi skutkami; jego jelita, zdaniem lekarzy, zamieniły się w <papier toaletowy>, tzn. rwały się w strzępki. Do tego wewnętrzny krwotok i aplazja szpiku; to znaczy jego szpik nie produkował żadnych ciał morfologicznych (krwi)... Moje dziecko zostało wywiezione na <salę śmierci>.

Pamiętam, była godzina trzecia w nocy – krwotok, brak płytek krwi, które są niezbędne dla krzepnięcia... I nagła diagnoza lekarzy: „Jedynie natychmiastowa operacja może mu uratować życie; bez niej na pewno nie przeżyje do rana! Jednak na to, że przeżyje jest tylko <listek> nadziei.. Proszę podjąć decyzję.”

Miałam wyrazić zgodę na operację. Wyrazić zgodę. – Na co? Na śmierć? Na życie?... Rozterka, rozpacz!...

Pamiętam jak dziś: z siódmego piętra Centrum Zdrowia Dziecka widać startujące nocą samoloty. Powiedziałam: „Boże, Ty jesteś tym <Listkiem>, w Twoje ręce oddaję moje dziecko”. Akurat wzbił się w niebo samolot – tak, jak moja modlitwa; wyobraziłam sobie, że to ona wzbiła się do Boga...

Szymon przeżył operację – Bóg okazał się nie <listkiem>, ale mocną liną!

Za pięć dni znów szok: martwica jelit!

Znów operacja – wyprowadzenie jelit na zewnątrz. To trwało cały miesiąc, dziesiątki rurek i przewodów, ciągła opieka: noc-dzień, noc-dzień... Oprócz zastrzyków robiłam wszystko: zmieniałam kroplówki, mierzyłam ciśnienie, itp., itd. – Nie wiem, jak żyłam, nie widziałam świata wokół siebie. Po

miesiącu nie można było dłużej zwlekać – jelita musiały być na powrót wprowadzone do środka; niestety, wciąż były jak martwe...

Wiedziałam, że ze mną modli się moja rodzina; modlił się i pościł wtedy cały zbór, ja także pościłam. Nadeszła noc.

Wczesnym rankiem pani doktor zaczęła badać Symeona. I nagle jej krzyk: „Wyłączyć aparaturę!... Coś się dzieje!”...

Następni lekarze, ogromne zamieszanie, i niespodziewane słowa, które zmienionym głosem wypowiedział do mnie lekarz: „Pani Ciempka, wie pani, co się stało dzisiejszej nocy? Cud!!!” – To, co było martwe, ożyło; jelita zaczęły pracować. Bóg wysłuchał kolejny raz.

Podobnych zdarzeń było wiele. Symeon miał wśród lekarzy swoje przezwisko: <Wyjątkowy>. Wielokrotnie podkreślali, że jest zdumiewającym przypadkiem: „szereg zabiegów nie mogło by się udać u innych dzieci- ale nie u Symeona”. Doktor Perek powiedziała mi pewnego dnia: „Pani Grażynko, nie wiem, co będzie dalej – bo to wie tylko Bóg – ale pierwszy raz widziałam, żeby ktoś przeżył takie komplikacje!”

Bóg często nie odpowiada na nasze modlitwy od razu. Czasami trzeba czekać wiele lat, a nieraz wydaje się, że Bóg nie słyszy... Chcę wspomnieć o jeszcze jednej sprawie.

Często człowiek modli się tak, że modlitwa dociera zaledwie pod sufit. Także mnie się to zdarzało, i takie miałam wrażenie. Bo gdy jest dobrze, nie odczuwamy naszej wielkiej zależności od Boga. W chwilach moich ciężkich doświadczeń z całej siły uczepliłam się słów Jezusa z Ewangelii wg. Łukasza 11,9.10: „A Ja wam powiadam: Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie; kołaczcie, a otworzą wam. Każdy bowiem, kto prosi, otrzymuje, a kto szuka, znajduje, a kto kołacze, temu otworzą”... Chcę podać jeszcze jeden przykład.

Miałam na oddziale Biblię, i pewnej nocy, gdy lekarz zmroził mnie słowami: „Niech się pani przygotuje – Symeon umrze. Może nie dzisiejszej nocy, ale na pewno w ciągu kilku najbliższych dni... Niemożliwe jest, aby z tego wyszedł.”

Wyszłam wtedy na balkon i prosiłam: „Boże, proszę, odpowiedz mi poprzez Twoje Słowo. Proszę Cię o to, jak o Twój znak; gdziekolwiek otworzę Biblię i na który – tylko jeden werset spojrzę – niechaj to będą słowa, którymi mi odpowiesz!”...

Otworzyłam Biblię, a mój wzrok padł na słowa z Ewangelii wg Marka 10,27: „Jezus spojrzał na nich i rzekł: U ludzi to rzecz niemożliwa, ale nie u Boga; albowiem u Boga wszystko jest możliwe”!... Wiem, że bardzo wtedy płakałam, ale były to łzy wdzięczności; zrozumiałam, że Bóg przez cały ten czas jest ze mną i z Symeonem, i że w tej chwili dał mi właśnie odpowiedź.

Dziś sama nie wiem, jak mogłam to wszystko znieść. Ale wiem, że właśnie wtedy, kiedy dopuścił na mnie to ciężkie doświadczenie, ten wielki ból i rozpacz – równocześnie okazywał mi Swą wielką miłość. To On był ze mną w każdej chwili i na każdym kroku, wspierał mnie i posilał. To On chronił i leczył mojego synka!

Do dziś, gdy jeździmy do Warszawy na kontrole, każdy pamięta i chce zobaczyć Symeona. Jaki był jego stan, i jakim cudem było jego uleczenie może świadczyć fakt, że w rok po wyjściu Symeona z CZD, opiekujący się nim lekarze dali na mszę dziękczynną! (I chociaż wiem, że praktyka ta jest niezgodna z nauką Słowa Bożego, i na pewno Panu Bogu chwały nie przynosi – jestem wdzięczna za serce i wielkie zaangażowanie!)

Wiem, że osoby chore, a także ci, którzy się nimi opiekują, potrzebują wiele duchowego i psychicznego wsparcia. Dlatego im wszystkim chcę powiedzieć: Zaufajcie Bogu! Wiele może usilna modlitwa sprawiedliwego, post, a także biblijny obrządek pomazania olejem i nałożenia rąk. Pamiętam, jak w najtrudniejszym momencie, gdy uświadomiłam sobie, czym może się skończyć choroba Symeona, postanowiłam sobie: „Panie, będę uparcie kołatać i prosić, aż mnie usłyszysz i odpowiesz! I albo mnie ukarzesz za mój upór, albo wysłuchasz. Ale we wszystkim niech się dzieje wola Twoja!”

Na zakończenie powiem raz jeszcze: Przeżyłam gehennę, ale w najtrudniejszych momentach czułam, że On jest ze mną. Chcę też podziękować wszystkim, którzy modlili się wraz z nami, zwłaszcza moim

Rodzicom, że byli zawsze ze mną, odwiedzali i wspierali duchowo, psychicznie i materialnie.

Sprawdziły się też słowa pieśni, którą Symeon, gdy był już chory, często śpiewał: **„Gdy pójdziesz przez wody – nie zaleją cię; Gdy pójdziesz przez ogień – to nie spali cię!”**

Symeon, jak wcześniej jego braciszek, dawno by już nie żył, jednak Pan Bóg pozwolił jemu, mnie i wszystkim nam być jeszcze razem. I za tę radość przebywania z moim synkiem co dnia – dziękuję Bogu z całego serca!

* *

PS. Od napisania i opublikowania powyższego tekstu w „Duchu Czasów”, w roku 2000., minęło pełne siedemnaście lat. Niestety, podstępna choroba znów zaatakowała i przed trzema tygodniami, mając lat 27, Symeon zmarł. Napełniony Pokojem Chrystusowym, odszedł świadomie, żegnany przez najbliższych, których spotka w Dniu Zmartwychwstania, by wraz z nimi żyć w świecie, gdzie nie będzie już chorób, cierpień i rozstań.